№ 14. Warszawa, dnia (27 Marca) 8 Kwietnia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . . 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; w **Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.**
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Pewnego dnia, przy wspólnym stole obiadowym, zawiązała się ożywiona rozmowa pomiędzy dwoma francuzami. Jednym z nich był stary literat o długich, siwych włosach i takiejże rozwichrzonej brodzie, z niekrochmalonym kołnierzem od koszuli i granatową w białe grochy krawatką, na wielką kokardę zawiązaną. Drugim—średnich lat dziennikarz i krytyk, w binoklach, z głową ostrzyżoną krótko, z zarostem przyciętym *à la Henri IV.*

Przedmiotu do rozmowy dostarczyły najnowsze prądy literackie i artystyczne. Reszta towarzystwa, składającego się (z wyjątkiem komiwojażera) z ludzi intelligentnych, z zajęciem przysłuchiwała się sporowi. Ten i ów wtrącał do niej chwilami swoje uwagi.

Literat piorunował na wszelkiego rodzaju „dekadentów,“ nazywając ich pokoleniem zwyrodniałem, wytworem duchowego rozkładu, kalekami dotkniętymi w dwudziestym roku życia „uwiądem starczym...“

— Do pioruna!—grzmiał, uderzając pięścią w stół, na którym dzwoniły szklanki, kieliszki i karafki z winem czerwonem.—Przyjrzyjcie się ich Beatryczom, ich Laurom, ich opiewanym i malowanym Muzom. Nie sąż to wizye zużytego palacza opium? nie jestże to harem impotensów? Do kliniki z niemi! do szpitala! do trupiarni! W niewiastach Wiktora Hugo czuje się potęgę biblijną i wielką, prawie żywiołową, moc rozrodczą. Są to albo matki rodu i królowe plemienia, albo też kapłanki, wieszczki, bohaterki. Przed kobietami Musseta stajesz z zalęknieniem. Damy to wielkie, bóstwa salonów o powściągliwym uśmiechu, a niepowściągliwych namiętnościach. Jedne z nich mają gwiazdy nad czołem, inne wloką po błocie końce opuszczonych skrzydeł, ale dotknij którejkolwiek — sparzysz się. Tyle w nich płomienia, tyle serca, tyle kobiecości! Anioły, Demony, królowe salonów czy gryzetki, wszystkie są kobietami w ludzkiem, szczerem znaczeniu tego słowa. Każda może być kochanką, żoną, zbawieniem lub przekleństwem, jeśli nie twojem, to bliźniego twego. Matką wszystkich—Ewa.

— Czasy Wiktora Hugo i Musseta skończyły się w poezyi, bo skończyły się i w życiu — zauważył spokojnie krytyk. — Społeczeństwa europejskie przeżyły już dobę romantyzmu.

— Nie chcę znać żadnych romantyzmów, klasycyzmów ani pozytywizmów! — wybuchnął tamten. — Słyszysz pan? — nie chcę! W sztuce i poezyi znam tylko dwie szkoły: dobrą i złą. Dobrą była, do której należeli: Hugo, Musset, Lamartine, Dumas i współcześni im. W drugiem pokoleniu szkoła ta zeszła o jeden stopień niżej, ale dobrą być nie przestała. Dumas syn, Augier, Flaubert i t. d. mogą stanąć obok tamtych—w drugim rozumie się szeregu. To również dzielni męże, czyli, co na jedno wyjdzie—mężczyźni. Ale teraz zapanowało królestwo eunuchów.

Krytyk zdejmował binokle, przecierał je chustką i znów nakładał; zaostrzał w palcach koniec brody, skręcał i rozkręcał serwetkę. Nareszcie, dorwawszy się do głosu, rzekł:

— Za ostro, kochany kolego. Za ostro i za jednostronnie. I mnie ostatnie mody w sztuce i w poezyi nie zachwycają, ale sądzę, że nie przyszedł jeszcze czas na wydawanie ostatecznego o nich wyroku. Ten prąd nie wypowiedział się jeszcze całkowicie. Poprostu nie natrafił jeszcze dotąd na swego geniusza, ani nawet nawet na swoje wielkie talenty. Dotąd jest to tylko ferment; poczekajmy, może po wyklarowaniu będzie z niego wino szlachetne.

— Lura będzie!—wtrącił stary, rzucając się na krześle.

— Przytem nie zapominajmy, że społeczeństwo miewa częstokroć taką sztukę i taką poezyę, jakiej w danej chwili jest warte. Może wyłączną winą tej młodzieży, która sama siebie nazywa „dekadentami,“ jest to tylko, że przyszła na świat o kilka dziesiątków lat zapóźno lub zawcześnie. To, co nam się wydaje sztucznym wymysłem, następcy nasi nazwą może smutną koniecznością. Ja sam dostrzegam już pewne co do tego wskazówki.

Zatrzymał się i po chwili namysłu dodał:

— Posiadam też pewną własną teoryę wyjaśniającą, dlaczego w danej chwili sztuka i poezya muszą być takie, a nie inne.

Rzucił z pod binokli badawcze spojrzenie dokoła. Zatrzymało się ono dłużej na damach, zwłaszcza młodych, jakby badając, czy przy nich szczerym być można.

— I cóż ta teorya? — zapytał z uśmiechem dwuznacznym literat.

— Teorya! teorya! — zaczęły dopominać się damy, zaciekawione zagadkową miną krytyka.

On jeszcze cokolwiek namyślał się, wreszcie rzekł:

— *Jakie kobiety, taka i sztuka.* Oto moja teorya.

— Nie rozumiemy! Prosimy o szczegóły!—ozwały się dokoła cienkie głosy.

— Szczegóły same się znajdą, gdy kto zechce porównać wczorajszą kobietę z wczorajszą poezyą i dzisiejszą kobietę z dzisiejszą poezyą. Materyałów samo życie dostarczy.

Przerwał i zatonął cały w smakowaniu groszku szparagowego, którego nabrał pełny talerz z obnoszonego właśnie półmiska.

Stary brodacz popijał wino z wodą i uśmiechał się pod wąsem. Damy, dziobiąc w mil-

czeniu drobne strączki widelcami, zdawały się stropione.

— Zdaje mi się—rzekła jedna z nich — że to, coś pan powiedział nie jest pochlebne dla kobiet dzisiejszych.

Ale krytyk milczał, jakby nie do niego mówiono.

Malarza przy tym obiedzie nie było. Wanda zaczytana w rozłożonej obok talerza książce, prawie żadnej uwagi nie zwracała na rozmowę.

Zbliżały się egzamina; Wanda pracować musiała z natężeniem, aby doścignąć kolegów i powetować czas stracony.

Spędzała ona teraz wszystkie wieczory w domu, pracując przy niewielkiej lampie naftowej, która bladem światłem zalewała jej żółty, smutny pokoik.

Jednego wieczora, gdy biedziła się nad trudnem zadaniem matematycznem, zapukano do drzwi zastawionych krzesłem.

— Otwarte!—rzekła niecierpliwie, nie podnosząc głowy od papieru.

Drzwi rozchyliły się; stanął w nich Cieński z długim paskiem papieru w ręce.

— Przyniosłem rachunek—rzekł prędko. — Bądźcie łaskawi porównać go ze swoim.

— Dobrze. Zostawcie.

Nie przestawała pisać, zapełniając papier długiemi kolumnami cyfr.

Student ruchem nerwowym wydobył i schował zegarek.

— To musi być zrobione prędko — rzucił — dziś, zaraz, za pół godziny najdalej...

— Dlaczego?

— Jutro bardzo rano wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Londynu.

— Na długo?

— Na kilka, może kilkanaście tygodni.

— I po co?

— Zobaczyć w „British Museum" papyrusy. Paryż takich nie ma.

Przestała rachować, nie wypuszczając jednak pióra z ręki.

— Pokażcie—rzekła po chwili milczenia.

Cieński poruszył się, ale w miejscu pozostał. Istniała pomiędzy niemi umowa milcząca, że żadne dzielącego ich progu nie przestąpi.

Wanda, ociągając się nieco, podeszła do studenta i kartkę z rąk jego wzięła.

— Dziewięć franków dwadzieścia sześć centymów — przeczytała głośno z papieru. — U mnie jest dziewięć franków dwadzieścia dwa centymy. Co zrobić z różnicą?

— Przepołówmy ją.

— Zgoda.

— Proszę was, tu są pieniądze.

Podał jej summę odliczoną.

— Pokój* do pierwszego zapłacony. Gdybym dłużej zabawił, trzeba będzie zapłacić i za miesiąc następny. Czy pozwolicie bym wam pieniądze na to zostawił?

— Zostawcie.

Odliczył nową kwotę i Wandzie podał.

Zegarek bez dewizki znów został wyjęty i schowany.

— Spieszy mi się — rzucił student, przestępując z nogi na nogę.—Pled muszę kupić, bo mówią, że na Kanale zimno. Żegnajcie. Do zobaczenia; *farewell.*

Uścisnęli sobie ręce, potrząsając niemi silnie, po studencku.

Cieński odszedł, drzwi zamykając. Po chwili znów ich cokolwiek uchylił.

— Czy zostawić wam mój adres londyński? — spytał prędko, spiesząc się do wyjścia.

— Sądzę, że nie będzie potrzebny — odrzekła spokojnie Wanda.

— Gdyby jednak co zaszło, piszcie na ręce kustosza w „British Museum."

Kiwnął głową i drzwi zamknął.

Wanda zabrała się napowrót do swej matematyki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PRASY.

Z obszernego artykułu, pomieszczonego w 12 numerze „Prawdy," bierzemy wyjątek, którego znaczenie ufamy, że uważni czytelnicy „Tygodnika" zapewne zrozumieją, odczują, i potrafią zharmonizować je sobie z tem, co z okoliczności krytyki Hauptmanowskiej sztuki, przykrą prawdziwie koniecznością znagleni, uważaliśmy za stosowne powiedzieć przed dwoma tygodniami.

Oto wymownych wielce kilka słów „Posła Prawdy," tłómaczących zapatrywania wybitnego naszego autora i publicysty na doniosłość nauki Chrystusowej dzisiaj i w przyszłości:

. . . .

„Jest to szczególny objaw naszych czasów, czasów niewiary, wyzwolenia umysłowego lub obojętności religijnej, że na tem tle zarysowywa się coraz potężniej wspaniała postać Mistrza Nazarejskiego, a symbol krzyża zyskuje coraz więcej czci.

„Pozornie dziwne to zjawisko po głębszem zbadaniu staje się zupełnie naturalnem. Z jakiegokolwiek bowiem stanowiska oceniać będziemy tegoczesny świat cywilizowany, zawsze wypadnie nam, że on głęboko zagrzązł w błocie życiowem, że z jego stosunków zniknęła sprawiedliwość, że jego uczucia zbrukały się obłudą i samolubstwem, że więc on musi się odrodzić moralnie. Gdy zaś spojrzy poza siebie, nie widzi w całem życiu ludzkości doskonalszego ideału moralnego od Chrystusa. Pomimo tedy różnicy pojęć, dróg, celów, zadań, które się zmieniły w ciągu kilkunastu wieków, zwraca on tęskne i uwielbienia pełne oczy ku temu promiennemu, niepokalanemu, wszystkich miłością obejmującemu Duchowi, który przetrwał tyle burz, tyle wstrząśnień i przewrotów, i który ciągle przyświeca rodowi człowieczemu. Cokolwiek jeszcze wymyśli lub wytworzy geniusz, jakiekolwiek tryumfy odniesie rozwój kultury—prawda, sprawiedliwość, czystość charakteru, miłość bliźniego, samorząd sumienia jednostki, niepodległość jej serca—słowem to wszystko, czego uczył i za co umarł Chrystus, nie straci nigdy swojej wartości i nie przestanie być cennem dobrem człowieka...

. . . .

Wątpliwości niepodlega, że nie szukać przeciwników chrześcijaństwa między umysłami poważnymi, wybitnymi, pierwszorzędnymi, zresztą rozumieją zapewne czytelnicy że wolnomyślność, a dowolność w tworzeniu pustych, beztreściwych frazesów ku uciesze pospolitego, a znieprawionego przesytem tłumu, nie jest bynajmniej jednem i tem samem. Trzeba koniecznie w życiu nauczyć się rozróżniać wysokie nastroje ducha od stanu rozstroju i zwyrodnienia moralnego, trzeba umieć rozpoznawać jednych od drugich: mędrców od mędrków — myślicieli od układaczy rzekomo efektownych haseł — ludzi podniosłych przekonań, gotowych do oddania w każdej chwili czci temu, co wielkie, od szpitalników, których słowo zdala już cuchnie alkoholem albo morfiną.

Newroza i wynikające z niej stany patologiczne w niczem — bezwzględnie w niczem nie kwalifikują swoich ofiar do stawiania się na świeczniku myśli — do puszczania ztamtąd wskazań moralnych, mających jakoby prostować drogi ludzkie.

Nie dajmy sobie tedy nigdy bezkarnie wmawiać pierwszemu lepszemu, że Chrześcijaństwo przeżyło się, przeżywa, albo przeżyć może w bliższej lub odleglejszej przyszłości. Wieki ogrzewać się będą przy gorącu jego uczuć — przez wieki rozświecać będzie drogę ku udoskonaleniu słońce jego prawd niezwalczonych.

Bardzo przykrą rzeczą jest występować w obronie takich podstawowych pojęć, ale niechajże wina spadnie na tych, którzy lekkomyślnością swoją do wystąpień podobnych zniewalają.

W KRAINIE ELFÓW.

BAŚŃ.

Wieńcem dokoła polany stoją nagie, bezlistne brzozy, buki, dęby, w cichem powietrzu gałązki ich drżą lekkim, ledwo dostrzegalnym ruchem. Światło księżycowe bieli samotne drożyny leśne—na świetlistych szlakach cienie gałęzi układają się w fantastyczne kształty. Brzozy zwieszają ku ziemi cienkie, szronem brylantowym strojne gałązki, leciutki wietrzyk przebiega po nich niby po harfy strunach, i śpiewak lasu gra jakąś, z najcichszych szmerów i szelestów złożoną, symfonię.

Świetlistemi ścieżynami z głębin lasu wybiegł na polanę tłum elfów maleńkich, i korowodem tanecznym, błyszczącym, tęczowym sunął po śnieżnych wzgórzach i dolinach.

Wietrzyk na gałązkach brzozy z cicha grał.

Po chwili maleńkie duchy przerwały fantastyczne pląsy swoje, i rozbiegły się by zbierać szrony na brylantową koronę dla starego króla swego.

Tylko jeden z nich, syn królewski, nie pląsał, nie biegał, lecz kołysał się smutny na gałązce płaczącej brzozy. Po jego cudnem, bladem obliczu przebiegały zadumy i uśmiechy smutne.

— O czem marzysz królewiczu? — pytały elfy, przebiegając obok niego.

— Marzę o wiosnie — odpowiedział królewicz.

— O wiośnie? Co to jest wiosna?— pytały elfy.

— Wczoraj, tam, pod krzakiem jałowcu spotkałem czarnoksiężnika z białą brodą... mówił mi, że kiedyś, kiedyś była wiosna na świecie...

Królewicz opuścił głowę pod ciężarem niedośnionych snów.

— Opowiedz nam o wiośnie — prosiły elfy, zbudzone do życia w posępnych dniach jesieni.

— Wiosna, to wróżka piękna, która kwiaty sypie na ziemię.

— Co to są kwiaty? — pytały dzieci jesieni.

— Nie było kwiatów za dni twoich — mówił mi czarnoksiężnik — jakże opowiem wam o nich, bracia? Widzieliście boginek liliowe twarze?—są kwiaty bielsze, niż boginek lica! widzieliście, jak w kryształach szronu światło księżycowe na barwy się łamie? — wiosna niesie kwiaty wszystkich barw, zielonymi liśćmi okrywa nagie gałęzie drzew, w powietrzu tchnie wonie rozkoszne, niesie piękno, miłość, życie... — tak mówił mi czarnoksiężnik... ach, chciałbym pić wiosny powietrze wonne, chciałbym...—i chylił królewicz oblicze blade, tęskne.

Posmutniały elfy figlarne.

— Czy wiosny nigdy już nie będzie, królewiczu? czy my nigdy nie zobaczymy wiosny? Czy kwiaty nie zakwitną nigdy?

Wskazał dłonią na śniegi i szrony.

— Kto je otrząśnie, kto ciepłem tchnieniem stopi śniegi białe? Nikt, nikt tego uczynić nie zdoła!

Rozmarzyły się duchy, roztęskniły za wiosną, za nieznaną, roztęskniły tak, jak tylko duchy tęsknić umieją.

— Wiosny, wiosny chcemy, miłości, słońca, piękna chcemy, my zbudzone do życia, śród zimy, my blade od bladych promieni miesiąca... chcemy wiosny!—wołały.

Królewicz ze smutnym uśmiechem wskazywał śniegi i lody.

Więc podniósł się elfów dziwny, rzewny płacz:

— Wiosny nigdy, już nigdy nie będzie nie świecie!

I zaroślami leśnemi leciał melodyjny płacz elfów. Posłyszały go wszystkie duchy leśne, i zbiegły się z dalekich stron. Obok królewicza, na gałązce brzozy siadła maleńka boginka w dyademie z gwiazdki śniegowej nad czołem, i pyta:

— Czemu elfy płaczą, królewiczu? Czy umarł ojciec twój, król?

— Król elfów żyje.

— Czy umarła matka twoja, królowa?

— Królowa elfów żyje. Elfy tęsknią za wiosną, elfy marzą i płaczą...

— A ty, królewiczu mój blady?

I boginki zielonawe oczy ciekawe, a figlarne, patrzyły w oczy jego.

— Boginko, daj mi radę!

— Tyś zakochany, elfie mój miły...

— Nasz byt krótki, wy boginki dłużej mieszkacie na ziemi... czy widziałaś wiosnę?

— Widziałam wonną, widziałam śpiewną, widziałam rozkwieconą...

— Czy piękna?

— Jak najpiękniejsze marzenie.

— A czy powróci jeszcze? Czy doczekam wiosny?

— Czemu pytasz, królewiczu?

— Odpowiesz?

— Odpowiem.

— Kocham, boginko, konwalię małą, tę z pod dębu... wiesz...

— Tę szarą, nędzną, ukrytą w ziemi?

Srebrzysty śmiech boginki leciał w dal.

— Kocham ją, piękność jej przeczuwam, oczekuję...

— Co rzekł ci ojciec jej?

— Ojciec jej, bór, obiecał, że da mi ją za żonę, gdy rozkwitnie, na wiosnę... Boginko nie patrz na mnie oczyma, jak czar! Wiem, że król jedną z was przeznacza mi za żonę... kocham konwalię szarą, nędzną, ukrytą w ziemi... czekam wiosny...

— A kto zdoła tchnieniem gorącem stopić lody i śniegi, kto wiosnę sprowadzi? Śmiej się królewiczu, śmiej!.. Twoja konwalia nie podniesie się nigdy od ziemi, bo wiosna nie przyjdzie już nigdy, teraz panowanie zimy... do widzenia, marzycielu blady...

I rozwinąwszy zielonawe, przejrzyste skrzydełka, boginka złośliwa odleciała w błękitne przestworza.

Więc podniósł się znowu żałosny, długi, beznadziejny płacz, i uciekając przed tęsknotą własną, mknęły elfy świetlistemi szlaki w głąb lasu, a echa roznosiły po puszczy całej ich płacz:

— Kto tchnieniem gorącem stopi lody i śniegi? Kto?..

Wierzchołkami drzew huk przeleciał głuchy... potem drugi... trzeci... Szum się niósł potężny po puszczy całej, a w szumie brzmiał głos: Ja!

I przyszła cicha, przyszła wonna, rozśpiewana, promienna, ciepłem tchnieniem stopiła powłoki lodowe, rozkuła pęta srebrzystej siklawy, ożywiła martwe, rozbudziła śpiące, ziemię obsypała kwieciem...

W cichą, ciepłą noc wiosenną, stał młody król elfów obok konwalii rozkwitłej, i brał w siebie upajającą jej woń. Dzwoneczki konwalii drżały i srebrnym głosikiem dzwoniły pieśń miłości...

H. C.

Korespondencja z Paryża.
O ubiorach.

4 Kwietnia 1899 roku.

Wiosna nie wprowadziła zmiany do ogólnej formy sukien. Spódnice zawsze płaskie w górze, rozszerzone u dołu, z lekkim u ziemi trenem; w szczegółach tylko spostrzegamy nowe całkiem pomysły. Do tych należą tuniki, jedne otwarte na przodzie, inne spięte z lewego boku, obciśnięte bardzo wązkim paskiem. Stanik u nich z tego samego materyału, zarówno jak rękawy. Na wieczory i obiady proszone tunika najczęściej koronkowa albo tiulowa czarna, zasiana dżetowemi lub stalowemi palietkami.

Inną znów nowość stanowią plastrony pod otwór stanika, haftowane na półbatyście, inkrustowane koronką, podwleczone różową albo błękitną materyą surah; u szyi także opaska ogarnirowana w górze fryzką koronkową.

Do nowości także zaliczymy szarfę wązką na parę cali z aksamitki czarnej lub kolorowej, przewieszoną przez ramię *(en baudrier)*. Do strojnych sukien przyjęte będą girlandki z liści lub drobnych kwiatów (fiołków, stokrotek i t. p.), przeciągnięte w ten sposób.

Dodajmy tu jeszcze, że staniki mają długość niezwykłą. Gorseciarki łamią sobie głowę, jak zastosować sznurówkę do mody tak ekscentrycznej, a dla wielu osób tak niewygodnej. Mało widać bawetów; stanik najczęściej nie odcięty od spódnicy, obciska wązki pasek zapięty na nizką klamerkę.

O kapeluszach tyle tylko powiedzieć możemy, że rozmiary ich znacznie zniżone. W kolorach przemaga szczególniej lila, od bladego *mauve* do ciemno-fiołkowego, i cała gamma czerwonych odcieni od blado-różowych do *vin de Bordeaux*. Pióra zastąpiły ogólnie kwiaty.

W układzie włosów przyjęty dziś powszechnie rulon odwinięty w górę od czoła, mocno natapirowany, zwany aureolą. Nad tem warkocz skręcony w szlimak lub ułożony w pukle. Podpinają go rozetą z muszlinu jedwabnego, w białym lub innym kolorze. Dla brunetek ładnie przypada rozeta w odcieniu złotawym, kanarkowym lub pomarańczowym.

Dajemy tu opis kilku sukien świeżo wykonanych w artystycznej pracowni pani Elizy Petit i Berthier przy ulicy St. Lazare Nr. 77.

Pierwsza suknia z czarnej grenadiny bardzo klarownej na białem atłasowem podwleczeniu. Spódniczka czarna rozchodzi się z lewego boku—zostaje tylko biały atłas. Otwór zagarnirowany wolantem koronkowym; ten odwraca się do dołu i otacza całą spódnicę— nad nim dana rusza z czarnego muszlinu jedwabnego. Stanik otwarty, marszczony,

zapięty z boku, na wykroju rusza muszlinowa. Pod spód idzie plastron biały atłasowy, zasiany blaszkami ze stali, zahaftowany białym jedwabiem. Rękawy obcisłe, bardzo długie, u ramienia epolecik koronkowy, u ręki koronka wybiega od spodu.

Drugie ubranie wieczorowe. Spódniczka z materyi surah w kolorze turkusowym, zaplisowana w odstępach (trzy zakładki idą koło siebie). U dołu przednich brytów nagarnirowane dwie ruszki z czarnego muszlinu jedwabnego. Stanik gładki otwarty z przodu. Na to spada tunika z czarnej klarownej grenadiny, zasiana cała w błękitne atłasowe pastele. W tyle tunika dochodzi do ziemi, z przodu wcięta w górę na łokieć, objęta płaskim wolantem en forme. Stanik przymarszczony, otwarty; z obu stron odwinięte wyłogi z błękitnej materyi, powleczone tiulem czarnym i razem z nim drobno zaplisowane, objęte trzy razy wązką aksamitką czarną. Pod spód idzie bufowany plastron z białego muszlinu jedwabnego z takąż fryzką u szyi. Stanik obciśnięty wązkim paskiem czarnym aksamitnym, spiętym na dżetową klamerkę. Rękawy bardzo obcisłe, podwleczone materyą błękitną, u ręki czarna muszlinowa falbanka.

Trzecia suknia z lekkiej tkaniny voile w kolorze lila, różowawym. U dołu spódniczki naszyta cztery razy jedwabna frendzla tegoż koloru. Stanik marszczony mocno wycięty, skrzyżowany na piersiach; wkoło wykroju i przez ramiona dana odpowiednia frendzla. Powyżej idzie gładki karczek z tego co i suknia materyału, naszyty w ukośną kratę białemi perłami. Rękawy bardzo wązkie.

Czwarta suknia z błękitnej popeliny. Spódniczka u dołu wycięta w czworograniaste zęby *en crenaux*, wysokie prawie na łokieć; pod to dany plisowany wolant z czarnego muszlinu jedwabnego. Zęby objęte wąziuchną aksamitką, przypikowaną paciorkami z dżetu. Stanik w formie żakietki, otwarty na przodzie, z długą baskiną wyciętą na dole w odpowiednie zęby. Z przodu wyłożone szpiczaste klapki, naszyte brzegiem aksamitką, takiż kołnierz Médicis lekko odwinięty. Na spód idzie bluzka z błękitnej materyi z żabotem czarnym muszlinowym. Dwa boki żakietki łączy pasek błękitny, naszyty brzegiem aksamitką.

Na rozpoczynający się karnawał wiosenny, mało widać jeszcze gotowych strojnych sukien, ale mamy przed sobą mnóstwo próbek lekkich materyi jedwabnych; odznaczają się wszystkie nowym zupełnie gustem. Dajemy tu ich opis.

Materya biała, wpodłuż przechodzą wązkie na cal paski w kolorach: błękitnym, różowym, lila, albo czarnym. Na tem zasiany biały atłasowy maczek. Na innej dane paski różnej miary w rozmaitych odstępach, objęte brzegiem białymi lub czarnymi punkcikami.

Widzimy też białą materyę w szerszą lub węższą kratę kolorową; na tej przechodzi kratka z cienkich prążków czarnych; w odstępach rzucane maleńkie bukieciki. Osoby wysokiego wzrostu upodobały sobie kratę, gdy tymczasem dla niższych lepiej nierówne odpowiadają pasy. Jedne i drugie równie przyjęte.

Do najmodniejszych materyi jedwabnych należą tak zwane *ondule*, w dwóch odcieniach tego samego koloru, falujących jak woda. Na tem zasiany biały atłasowy groszek.

Materya zwana *Skotch* ma na tle białem szerokie na dwa cale pasy, przerabiane w szkocką kratkę. Inna zwana *Javanaise* składa się z różnokolorowych pasków w guście perskim.

Najświetniejszy z tych materyi Pekin Maedon. Na tle białem przechodzą w odstępach pasy z białych punkcików atłasowych; pomiędzy tem rzucane bukieciki z pączków róży lub z fiołków parmeńskich.

Na wielu materyach tło wyciskane w morę. Idą na tem kwiaty przerabiane jedwabiem w rodzaju adamaszku.

Próbki fularów niezwykłym odznaczają się gustem. Widzimy trzy ich rodzaje: najprzód fular zwyczajny, lekki, na tle jasnym, w drobne paski lub rzucik. Idzie potem fular surah sztywny jak materya, ten w rzut z zielonych liści koniczyny, na białem tle bardzo ładnie wygląda. Inny w szkocką kratę, w żywych odcieniach, właściwy szczególniej na szmizetki albo tuniki. Cała suknia taka wyglądałaby zbyt jaskrawo.

Trzeci fular zwany *satiné* podobny zupełnie do atłasu. Używają go na strojne suknie do wieczorowego lub balowego nawet ubrania. Wyciskane na nim bukiety z róż, fiołków lub innych kwiatów zazwyczaj na tle białem.

Seweryna Duchińska.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

II.

El Christo de la luz.

Legenda Toledańska.

(Dokończenie).

Abisain siadł na ziemi za kolumną i otulił się w płaszcz. Najprzód uczuł bojaźń, potem szał zwycięztwa i dziką radość. Strącił tego Nazarejczyka w proch! Zabił go! Zadrżał nagle. Czyliż naprawdę spełnił morderstwo? Chciał zwalić bożyszcze, a teraz miał uczucie, że zabił człowieka, i cała groza popełnionej zbrodni opanowała mu duszę. Trząsł się całem ciałem, zęby mu szczękały, a jednak nie był to strach. Było mu, jakby w łonie jego nagle nieznane otworzyły się przepaście; świat, Bóg, ludzie, jego najwłaśniejsze ja, wszystko nagle w innem świetle, w innej postaci stanęło przed zdumioną jego duszą. Czem był dawniej całemu światu? Niczem! A teraz zdało mu się, że zbrodnia była aż ku niebu strzelającą podstawą, na której stał, i każdy, kto wczoraj jeszcze bez najmniejszego zajęcia koło niego przechodził, podnosił teraz wzruszony, zdumiony, ciekawy wzrok ku niemu! Cały świat zmienił się w jedyny, olbrzymi palec, a palec ten wskazywał na niego! Nigdy nie miały ani życie, ani śmierć, ani ludzie, ani Bóg, takiej niesłychanej dla niego wagi, takich wyrazistych zarysów, takiej uderzającej rzeczywistości. To okamgnienie, gdy wbił nóż w bok „Chrystusa Światłości,” było właściwie całem życiem jego! Co było przedtem, było ledwie dziecinną igraszką, a potem — cóż jeszcze być mogło? Nic już, nic! Zbrodnia! Grzech! Grzech! Co to jest? Klątwa czy błogosławieństwo? Abisainowi zdawało się, że czyn ten był największem szczęściem, najsilniejszym czarem, czemś większem nad modlitwę. Nic go nigdy tak bezpośrednio przed samo oblicze Boga nie posunęło, jak to morderstwo! Stał teraz przed Bogiem! Grzech uniósł go przed oblicznośċ Boską, jak wóz ognisty Eljasza za życia uniósł do nieba. Było to dziwne, ale kogo Bóg woła do siebie, temu daje upaść w ciężki grzech, odłącza go w ten sposób od reszty ludzi, aby na niezwykłem, osobnem miejscu stał!

Tak rozmyślał Abisain i nie czuł, że nie grzech, nie zbrodnia, lecz wielka skrucha nad tym grzechem, nad tą zbrodnią, upadłego człowieka przed Boże unosi oblicze. Ta skrucha wszakże dotąd nie ozwała się w nim. W łonie jego szalała burza. A na dworze nawałnica też się rozpętała. Deszcz lał potopami, pioruny rozświetlały miasto całe to błękitnie, to fioletowo, to krwawo; wiatr jęczał, wył, huczał i szlochał. Nareszcie wszakże uciszył się huragan, deszcz ustał, chmury się rozpierzchły i gwiazdy zaczęły na niebie przebłyskiwać.

Abisain powstał, rozwaga i myśl spokojna zaczęły się w nim odzywać, gwałtowne wzruszenie poczęło się uciszać w jego duszy, jak ta burza i ten wicher na dworze. Zrobił krok i zawadził nogą o strąconego Chrystusa. Nie wiedział czemu, ale za nic na świecie nie chciałby na niego spojrzeć. Cofnął się ku kolumnie. Po chwili wszakże, jakby przez przeciwieństwo, opanowała go nieprzeparta ciekawość, jak też ta twarz udręczona wygląda. Ale było zupełnie ciemno i nie mógł rozeznać. Wyszedł przed kościół. Wszędzie było pusto, cicho, bezludnie. Wiatr osuszał wielkie bruku kamienie.

— Pójdę do domu—rzekł sobie Abisain.

Wrócił jednak znowu do kościoła. Omackiem posuwając się w ciemnościach, rozmyślał: jeżeli zostawi tu figurę na ziemi, zawieszą ją jutro z nową czcią na ołtarzu i czyn jego będzie nadaremny. Jak mógł być takim waryatem i myśleć, że popełnił morderstwo? Czyliż można zabić drzewo? Można je tylko spalić, jeżeli się chce je zniszczyć. To uczyni. Wtedy będzie po cudach. Zaśmiał się.

Omackiem począł szukać figury, znalazł ją, podniósł, wziął na plecy, okrył ją i siebie płaszczem i wybiegł na ulicę.

Nigdzie nie było ani cienia żywej istoty. Abisain szedł śpiesznie, figura nie była ciężka. Bez szkody doszedł do placu Valdecale-

ros, otworzył wrota kluczem, który nosił przy sobie, popędził po schodach na górę i wszedł nareszcie do swojej komnaty. Tam dopiero uczuł, jak bardzo był znużony. Rzucił figurę na podłogę, nakrył ją płaszczem i nie zapalając nawet światła, rozebrał się i padł na łoże. Powieki przymknęły mu się natychmiast, ciężki sen ogarnął go i pozbawił świadomości. Leżał jak kamień. Obudził się dopiero, gdy promienie słońca do komnaty przez niezasłonięte okno się wdarły i gdy jakaś wrzawa, podobna szumom dalekim rozhukanych wód, do ucha dochodzić mu poczęła.

Nie opamiętał się zaraz, co się z nim wczoraj było działo, miał tylko uczucie, że coś niezwykłego wisiało niejako w powietrzu, i w nim samym się odzywało.

Tymczasem wrzawa na ulicach zbliżała się z każdą chwilą. Teraz już pod samemi oknami grzmiał ryk, jak gdyby wzbierającej powodzi, i wreszcie z głuchego wrzenia tego wydobywały się okrzyki:

— El Christo de la Luz! El Christo de la Luz!

Jak piorun wróciła mu świadomość do duszy, cały dzień wczorajszy stanął nagle przed nim jasno i żywo. Wyskoczył z łoża w lęku jakimś nieokreślonym.

— Czyżby odgadła ta tłuszcza?—zaszeptał.

Ale wtem korytarze były już pełne ludzi, drzwi jego komnaty z łoskotem wyleciały z zawias i setki oczu, pełnych nienawiści, pełnych grozy, pełnych gróźb wbiło się w bladą twarz jego.

— Czego chcecie odemnie? — spytał najbliższych, którzy jakby chcąc rozszarpać, za piersi go chwytali.

— Przyznaj się do zbrodni! — ryczał tłum, i tysiąc pięści w pokoju, na korytarzu, na schodach i aż na dole, na ulicy, podniosło się ku niemu.

— Nie rozumiem—wyjąknął Abisain.

— Ja ci wytłómaczę—rzekł alcade toledański, który teraz przez tłum się przecisnął, a którego obudzono, gdy całe miasto o świcie się wzburzyło. — Przychodzimy cię uwięzić i oddać pod sąd. Czemu? Sam dobrze wiesz. Ołtarz w kościele „Chrystusa Światłości“ jest krwią zbroczony, a święta figura znikła z krzyża. Swiętokradzko raniłeś ją nożem i uniosłeś potem! Nie zapieraj się morderco Boga samego! Od ołtarza prowadzi ślad krwi ulicami, aż przed twój dom, schody twoje krwią poplamione, próg komnaty twej nią zbroczony, i ręce twoje także i szaty twoje, i płaszcz twój oto!

Z temi słowy podniósł płaszcz, porzucony na ziemi, i w wielkiej kałuży krwi ujrzano leżącego Chrystusa Światłości. Z rany jego w boku ściekały kroplę krwi, jak jasne rubiny!

Abisain zasłonił twarz rękami. Wiedział, że jest zgubiony. Z trudem ledwie obronił go alcade od wściekłości tłumów i odprowadził do więzienia.

Swiętą figurę poniesiono w procesyi przez całe miasto, przy odgłosie wszystkich dzwonów, tysiące świateł oświecało ją łuną złotą, dym kadzideł otulał ją ciągle w modre woni obłoki, a cała ludność klęczała kornie, gdy wśród pieni i hymnów pobożnych, uroczyście krucyfiks na dawne stawiano miejsce.

Tegoż samego dnia poddano Abisaina niesłychanym męczarniom. Jego ciało było jedną raną, jedna kość nie została w nim całą. Pośród mąk podniósł Abisain oczy do nieba i z ust jego wyszło wielkie wołanie:

— Eljaszu! Eljaszu!

Coś błysło, jako mgławica gwiazd najbielszych, przed jego oczy spłynął obłok, pełny blasków tęczowych, i z potoku światłości wystąpił Chrystus, krwią zbroczony, z uśmiechem niewymownie słodkim, nieskończenie dobrym, pełnym miłosierdzia najwyższego. Dokoła niego, w bezbrzeżnem przestworzu, wirowały miliony aniołów, kryjąc cały błękit niebios przezroczami słonecznemi, tęczobarwnemi skrzydłami.

— Przyszedłeś w chwale zwycięzkiej natrząsać się z mąk moich?—spytał Abisain.

— Przyszedłem boleści twe ukoić i nienawiść twą ugasić — odpowiedziało Boskie zjawisko, i pochyliło się nad cierpiącym człowiekiem, a krew, która z boku jego na męczennika padła, zmieniła męki jego w uczucie przedziwnej słodyczy. Coś, jakby szczęście nieskończone opanowało duszę i ciało umierającego Abisaina.

— Broczysz krwią—rzekł. — Któż ranił cię znowu?

— Ten lud, któremu męczarnie twe wydzierają okrzyki radości i który w imię moje dręczy! Póki będzie na świecie nienawiść, rany moje nie przestaną krwią broczyć. Każde słowo, przeklinające bliźniego, jest ciosem w serce me zadanym, każda nienawiść jest nowem na mnie spełnionem morderstwem! Twoja to złość, twój gniew namiętny, wywołały krwi wytrysk z mego boku wówczas w kościele—nie cios twojego noża w obraz mój. Ach! ileż krwi wylałem od początku wieków! Bo miłość moja dawno krwią broczyła, zanim jeszcze ciało moje do krzyża przybito. Miłość moja była z Panem, Bogiem twym, pierwej, niż były czasy, pierwej, niż była ziemia, pierwej, niż góry w posadach utwierdzone zostały, niż morza wodami się napełniły! Gdy tworzył Bóg firmament nad otchłaniami, była z nim, gdy obłokom kazał wznieść się na wysokości, była z nim, gdy rzekom dawał kierunek, była z nim, gdy tchnął duszę w Adama! Od wieków po wieki miłość moja ciągle krwią broczy! Krew ta świat cały zatapia! Spojrzyj naokół, co krwi tej się leje!

I oczy Abisaina odebrały moc źrenic archaniołów i cherubinów, i widział, że wszystko światło światów było właściwie krwią Chrystusową, że nią poiły się i żywiły słońca i gwiazdy wszystkie, że ją piła ziemia, by kwitnąć mogła, że wszechświat bez granic w niej tonął.

— A ja cię nienawidziłem, nienawidziłem miłość wieczną! — szeptał Abisain, i łzy skruchy niezmiernej, palące jak piekło, spływały mu po twarzy. — Jakże możesz zmiłować się nademną?—jęknął. — Jakże możesz mi odpuścić?

— Nienawiść twoja była jakby miłością ukrytą — pocieszał go Zbawiciel — miłością, której nie zrozumiałeś, i która pomięszaniem cię napełniała. Opierałeś się jej, bo zdała ci się grzechem. Nienawiść twoja płynęła z miłości ku temu, co ci się prawdą najświętszą zdawało, i nienawiść twa przeto sama była święta! Nienawiść taka budzi miłość, i Bóg ją raczej miłuje, aniżeli tępą ku wielkim rzeczom obojętność! Abisainie, rzekłeś kiedyś: „Zobaczymy się!“ Ja ci odpowiedziałem: „Zobaczymy się!“ I oto zobaczyliśmy się, bo tyś mnie znalazł, mnie, który wyszedłem ciebie szukać. Poznałeś teraz, że wszystka nienawiść jest błędem! Źródło jej wytryska tak blizko źródła miłości. Pójdź ze mną w miłości tej kraje, duszo biedna, duszo długo w ciemnościach błądząca!

I zjawisko, jak wówczas w grocie, przysunęło się bliżej, niby promień gwiaździsty, i usta jego szukały ust umęczonego Abisaina. Abisain uczuł rajskie ich tchnienie i zadrżał ze szczęścia.

— Miłuję Cię! — szeptał w tęsknocie niezmiernej, i Chrystusów pocałunek miru padł na usta jego, jak cichy kwiat. Szczęście głębsze, niż modra niebios otchłań, przejęło duszę Abisainową. Wzbiła się w górę z falą aniołów, podczas gdy poszarpane ciało, łachman krwawy, leżało na ziemi, a lud dokoła pięści podnosił i klątwy miotał mściwe.

Pomysły

do reform wychowawczych.

W francuzkim „Przeglądzie Przeglądów“ znajdujemy aż dwa obok siebie pomieszczone artykuły traktujące sprawy wychowania i wykształcenia. Pierwszy z nich noszący tytuł: „Szkoły macierzyńskie języków obcych,“ napisała pani C. Mazier, dyrektorka szkoły normalnej w Tuluzie — w drugim p. Mielle profesor lyceum w Tarbes, rzuca pomysły do reformy lyceum i uniwersytetu. Zaczniemy oczywiście od pierwszej z tych dwóch prac— mocno charakterystycznych każda w swoim rodzaju.

Pani Mazier wychodzi przedewszystkiem z zasady, że jej rodacy wogóle uczą się mało języków obcych żyjących—następnie, że ich się uczą późno i złą metodą, a zatem pragnąc, aby tym wielkim brakom w wykształceniu francuzów dzisiejszych zaradzić najskuteczniej, radzi rozpocząć tę naukę od wieku najmłodszego — prawie że bezpośrednio po wyjściu z niemowlęctwa. Ponieważ jednak nie każdy dom jest dosyć zamożnym, aby módz trzymać do dzieci jedną lub dwie cudzoziemki, a rozumie przez nie autorka angielkę i niemkę, nie pozostaje przeto wedle jej myśli, jak zrobić to nauczanie publicznem. Typem szkoły, któraby wzięła na siebie zadanie takie, jest wedle pani Mazier tak zwana szkoła macierzyńska, która stanowiłaby też wstępną czy przygotowawczą do nauk wykładanych w liceach, i tworzyła tych ostatnich przedsionek niejako. Postaramy się streścić zapatrywania autorki na ten szczególny zakład naukowy, a nadewszystko na sposób, w jaki zamierza w nim wszczepiać naukę języków obcych ziomkom swoim.

Wyklucza tedy w pierwszym rzędzie wymaganie od nauczycielek szkoły macierzyńskiej świadectwa bachalaureatu kobiecego. Gwarancye moralne, poprawne maniery towarzyskie, powierzchowność sympatyczna, pewne wtajemniczenie w metodę pierwszego rozwoju dziecka, nakoniec kilka lat przebytych poza krajem, w Anglii lub Niemczech—oto kwalifikacya cała.

Służba w tej szkole musiałaby także legitymować się z obcego pochodzenia koniecznie, albowiem pierwszym artykułem statutu byłoby tutaj całkowite pominięcie sposobu wyrażania swoich myśli w języku ojczystym. Rano więc mówionoby tylko po angielsku, wieczorem tylko po niemiecku, a to w wypadku, w którym rodzice życzą sobie, aby ich dzieci doskonaliły się odrazu w obu tych językach, bo i tę ewentualność przewiduje p. Mazier.

Dzieci pozostawałyby w szkole godzinę, dwie lub trzy godziny — wedle woli rodziców, a program obejmowałby wyłącznie zadania ustne, a więc: sceny z życia przyrody albo przemysłu (!!!), wizerunki zwierząt i roślin, opowiadania i bajki, wreszcie śpiewy, tańce, zabawy—przedewszystkiem zabawy.

Jeśli pierwszy artykuł statutu wyklucza stanowczo z użycia język francuzki, drugi musiałby się równie nieodwołalnie zastrzedz przeciw nauce czytania i pisania, albowiem szkoła macierzyńska pozostawiając dla wieku późniejszego gramatyki, ortografię, składnię i inne podobne łamigłówki, miałaby za cel główny naukę mówienia, a przedewszystkiem *myślenia w kilku językach obcych, do czego organizacya umysłu dziecinnego wybornie się nadaje* (?).

Taka szkoła, zdaniem p. Mazier, mogłaby oddać nieobliczone usługi, zwłaszcza gdyby dziecko oddawanem tu było w wieku odpowiednim. Pod tym ostatnim rozumie reformatorka wiek jak najwcześniejszy, bo mówi o dzieciach przynoszonych do tej szkoły przez niańki, a nawet mamki, nb. mówi o tem z zupełną dobrą wiarą, a przynajmniej z powagą niezmarszczoną. Powiedzmyż i o reszcie uwag i objaśnień cokolwiek.

Szkoła miałaby oczywiście dyżurujące siły służebne, któreby odprowadzały, a raczej odnosiły do domów dzieci zbyt głośno płaczące, lub przeszkadzające w jakikolwiek inny sposób nauczaniu innych. Takim trybem wdrożone w obce dźwięki dziecko francuzkie, ani się spostrzeże kiedy posiędzie pewną ilość dźwięków, następnie wyrazów, a jeszcze później okresów i zwrotów właściwych duchowi języka obcego.

Jest tam niby i trudności nieco, jak mówi p. Mazier — trudności wynikających bezpośrednio z wielkiego nagromadzenia dzieci bardzo małych w jednem miejscu, ale to jest szkopuł, któremu przecież zaradzić można. Naturalnem jest, że rodzice troszczą się o zdrowie swoich dzieci, ale przecież szkoła taka musiałaby odpowiadać wszelkim wymaganiom hygieny najidealniej pojętej, musiałaby mieć regulamin sanitarny surowy i przedsięwzięte wszystkie środki zapobiegawcze przeciw szerzeniu się chorób zakaźnych i t. d., i t. d.

Z najwyższem zaciekawieniem czyta się tę rozprawę, i aż do końca samego spodziewa się czytający, że go autorka wywiedzie z błędu, że cała robota okaże się mistyfikacyą, podaną dla wypróbowania łatwowierności ludzkiej w miejsce humorystyki, ale nic podobnego nie ma tutaj miejsca — owszem wszystko seryo, poważnie, w tonie głębokiego przeświadczenia co do użyteczności i w przeczuciu łatwego stosowania całej metody.

Jak ta kobieta pojmuje wychowanie niemowlęcia wogóle—co sądzi o prawach pierwszego stadyum wykluwania się pojęć — co o uczuciach matki pozbywającej się dziecka z domu już w pierwszych latach jego życia — trudno wiedzieć, ale i w tem co leży poza obrębem macierzyństwa, nieszczególnie zdaje się mieć uporządkowane wiadomości pani przewodniczka szkoły normalnej. Widać przedstawia ona sobie pamięć dziecka tak wiecznotrwałą, że wyuczone po wyjściu z niemowlęctwa kilkadziesiąt wyrazów i kilka okresów, pozostaną mu na zawsze przygwożdżone do jego pamięci. A nauka dwóch języków obcych oprócz własnego, zaraz po wyjściu z pieluch, a przyswojenie ich sobie w tym stopniu, aby w każdym z nich dziecko myśleć mogło, podczas gdy pewnikiem jest, że myśli się tylko w swoim własnym, albo w tym, który adoptowaliśmy sobie na miejsce własnego, a zawsze i niezmiennie tylko w jednym.

Dotąd nie uczyli się francuzi języków obcych, ale też pierwsze kroki, jakie na tej drodze stawiać zaczynają, wyglądają na prawdziwie niemowlęce, przyznać należy.

Pan Mielle znowu, rozmyślający o reformie uniwersyteckiej we Francyi, jest krańcowym republikaninem. Wszędzie widzi Jezuitów i jezuickie fortele, ciągle trwoży się o to, że era rewolucyi we Francyi dzięki ich knowaniom jest zagrożona, pienia się też o to, co się nazywać powinno we Francyi wychowaniem narodowem, przypisując zgromadzeniom duchownym, że wywierają nacisk na opinię, że zniechęcają umysły przeciw rzeczypospolitej, którą nazywają bezbożną i ateistyczną.

Niewiadomo dlaczego wykluczywszy z nauczania religię, i upowszechniając po sto razy na dzień maksymę, że respublika albo bedzie ateistyczną, albo przestanie istnieć, uważają sobie ci panowie oba epitety za ubliżające, ale mniejsza z tem, bo nie z takiemi tylko niekonsekwencyami będziemy mieć do czynienia w ciągu tego sprawozdania naszego.

Pierwszym zarzutem, jaki stawia autor programowi nauczania, stworzonemu przez III rzeczpospolitą, jest, że nauczanie w zakładach wyższych jest mniej demokratycznem w duchu, aniżeli w szkołach początkowych — drugim, że gmachy liceów i uniwersytetów wyglądają więcej na więzienia, niż na budowle, mające mieścić w sobie zakłady naukowe, i że jako takie dają młodzieży zarodki przyszłych nostalgij i manij samobójczych. Za tymi gmachami młodzież z pewnością nigdy nie zatęskni, gdy się z nich wyrwie na wolność, powiada p. Mielle, a to popiera twierdzeniami Daudeta, Richepina i innych. Jednem słowem idzie mu o jak najbardziej zbytkowne otoczenie w formie, i jak można najbardziej krańcową demokracyę wychowania w duchu.

Przepysznem jest skojarzenie takich czynników samo w sobie, nie mówiąc już nawet, że pojęcie o tem, co stanowi istotę niezatartych wspomnień młodości, zawisło od oświetlenia i przewiewności sal naukowych — od wygody ławek szkolnych, posadzek — zależne od tego, czy są one woskowane jak dzisiaj, a nie ceglane, jak były u nas niegdyś na przykład. Życzyćby należało jednakże wchodzącym w życie pokoleniom, które korzystać mają z tych ulepszeń architektury, hygieny i komfortu, aby ich dusze w wieku dojrzałym i starości z taką tęsknotą czepiały się tych swoich ulepszeń i udogodnień dzisiejszych, jak się ongi czepiały omszałych murów i ciemnych izb szkolnych serca tych, którzy oddawna już w grobach spoczywają.

Antypatycznie materyalnym jest w pojęciach swoich wszystkich i swojej naiwnej oschłości schyłek tego stulecia naszego, ale chodźmy dalej za marzeniami pana Mielle.

Zwracając się do personelu nauczającego, wynurza autor życzenie, aby poza nauką samą starali się być nauczyciele i inspektorowie szkół więcej ojcami rodzin, jak urzędnikami. Jest to bardzo piękne, gdyby tylko republikanie szczerze wypowiedzieli się raz, co rozumieją przez rodzinę i jakie jej miejsce w przyszłym swoim ustroju społecznym naznaczają. Co do tego jednakże pojęcia tych ludzi są nadzwyczaj rozmaite, a te, które się wydają najwięcej upowszechnionemi, nie bardzo zdają się opiekować tą formą stosunków. Mniejsza wreszcie o to—ich to rzecz nie nasza, nam chodzi tylko o konsekwencyę, a tej brak razi na każdym kroku, i dlatego wzmiankujemy o całej pracy.

Mówiąc o nauczaniu w kollegiach i lyceach, wyraża p. Mielle jeszcze jedną bardzo szczególną myśl. Pragnie on mianowicie, aby we wszystkich klassach niższych szkół męzkich, nauczanie objęły, ile się tylko da... kobiety. Będzie to mieć, zdaniem jego, najzbawienniejszy wpływ na nauczanie samo i na obyczaje również. Kobieta jest urodzoną, aby tak rzec, na nauczycielkę wieku młodego—to, czego mężczyzna dokazuje wysiłkiem woli, kobieta osiąga dzięki właściwościom przyrodzonym swego ducha. Zresztą doświadczenie uczy, że chłopcy wychowywani przez kobiety są charakteru łagodniejszego, są grzeczniejsi, mniej burzliwego temperamentu i nietyle popędliwi. Ich powierzchowność jest bardziej wyszukana, kajety staranniej i czyściej utrzymane, łatwość wysłowienia większa, dobór słów i okresów staranniejszy.

Szczególnych republikanów myśli dla swojej umiłowanej formy rządu przysposabiać p. Mielle. Życzymy mu na tej drodze powodzenia, a tymczasem idziemy dalej za jego myślami.

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Zapisy na cele użyteczności publicznej.

Zmarła w Płocku pod datą 26 Marca r. b. ś. p. Ludwika z Londyńskich Dąbrowska, wdowa po doktorze medycyny, poczyniła na cele publiczne następne legaty objęte jej rozporządzeniem testamentowem, a mianowicie: 6,000 rs. na stypendya imienia Adama Dąbrowskiego, dla trzech uczniów gimnazyum Płockiego (jednego katolika, jednego ewangelika i jednego żyda), ubogich a odznaczających się pilnością, których wedle wyznania przedstawiać będą do zatwierdzenia: proboszcz parafii rzymsko-katolickiej, pastor gminy ewangelickiej i rabin miejscowy—Jako dar wieczysty posesyę przy ulicy Stary-Rynek pod nr. 8 położoną, składającą się z dwupiętrowego domu frontowego od ulicy Piekarskiej i oficyny a zarazem rs. 5,000 w gotowiźnie z przeznaczeniem, aby w tym domu założoną została szkoła rzemieślnicza dla ubogich dzieci miasta Płocka wyznania rzymsko-katolickiego i ewangelickiego—Jako takiż dar posesyę przy ulicy Piekarskiej, złożoną z placów ze stojącymi na niej śpichrzem i domkiem nad Wisłą oraz rs. 6,000 w gotowiźnie na rzecz gminy żydowskiej Płocka — Rs. 5,000 na rzecz szpitala św. Trójcy w Płocku, z przeznaczeniem, aby z tej summy siostry miłosierdzia wyznania rzymsko-katolickiego, pielęgnujące chorych w tym szpitalu, rozdzielały wsparcia ubogim kobietom wychodzącym ze szpitala, a niemogącym zaraz po chorobie oddać się pracy. Na wypadek gdyby siostry miłosierdzia miały być kiedykolwiek usunięte ze szpitala, odsetkami tej summy rozporządzać będzie Płockie Towarzystwo Dobroczynności na wsparcia dla ubogich wdów wyznania rzymsko-katolickiego lub ewangelickiego — rs. 3,000 dla straży ogniowej ochotniczej m. Płocka — rs. 1,000 na kościół parafialny w Płocku, utrzymanie organów w tymże kościele i odprawianie mszy św. za duszę ś. p. Adama Dąbrowskiego—rs. 1,000 jako fundusz żelazny, od którego procent ma być wypłacany corocznie jednej służącej, która conajmniej lat 10 przesłużyła w jednem miejscu — rs. 2,000 na Towarzystwo opieki nad zwierzętami pod warunkiem, aby procent od tej summy użytym był na razie na utrzymanie do końca życia dwóch papug i psa, które stanowiły własność testatorki.

Schronienie dla nauczycielek.

Na posiedzeniu zarządu tej instytucyi w dniu 25 Marca, z powodu złożenia obowiązków przewodniczącej przez hr. Raczyńską, wybrano na przewodniczącą p. Emilię Bloch, a na wiceprzewodniczącą p. Aleksandrową Zarzycką. Bilans za rok 1898 zatwierdzono z ostatecznemi cyframi, które podajemy tutaj. Dochody w roku ubiegłym wynosiły 12,591 rs.—wydatki rs. 10,647 — fundusz własny schronienia 5,963 rs. Nauczycielek stale mieszkających w Schronieniu było 86. Przewidywany budżet roku bieżącego wynosi w dochodzie 8,650 rs. a w wydatkach rs. 9,506. Na członka rady postanowiono zaprosić p. Julię Wiemanową. Dzięki wnioskowi d-ra Tomaszewicz-Dobrskiej, zapadła uchwała otwarcia przy Schronieniu infirmeryi i apteki podręcznej, na co fundusz potrzebny zadeklarowała złożyć p. Emilia Bloch.

Dla kobiet pracujących.

Pisma codzienne podają wiadomość, iż departament kolejowy wydał rozporządzenie, mocą którego telegrafistki urzędujące w biurach kolejowych, mają być na przyszłość uwolnione od obowiązujących je dotąd dyżurów nocnych, a praca ich rozłożoną będzie odtąd tylko na przeciąg dnia. Ulga to w każdym razie niezmiernie doniosłego znaczenia.

Z letnich pomieszkań.

Dwie miejscowości w pobliżu Warszawy położone, o których wspominaliśmy już czytelnikom „Tygodnika,“ mianowicie Obory i Skolimów na szosie Wilanowsko-Grójeckiej, przechodzą obecnie na własność Towarzystwa Akcyjnego z kapitałem 300,000 rs. Willi znajdujących się na przestrzeni 7 wiorst, mających kanalizacyę i wszelkie udogodnienia, liczy obecnie Skolimów 15. Plac trzymorgowy w bardzo ładnem, jak mówią, położeniu, nad rzeką, ofiarował właściciel tego majątku adwokat Pröcker na schronienie dla literatów i artystów niezdolnych do pracy.

Wychodztwo.

Korespondent z okolic Ostrołęki donosi „Słowu“ o wzmagającym się znowu ruchu emigracyjnym pośród ludności wiejskiej. Jest tam mowa o jakimś Dawidku z Myszyńca, który zabiera kandydatów do tułaczego żywota na swoje furmanki i wyjeżdża sam naprzód, aby zamawiać miejsca zapewne na parowcach Transatlantyckich, o czem korespondent milczy. Bez Dawidka oczywiście ruch taki obejśćby się nie mógł, a że ten, który ułatwia i pobiera od osoby po 82 rs. kosztów podróży, musi być zarazem i agitatorem, o tem mówić byłoby zbytecznem. Musi jednakże gorączka opuszczania kraju być znaczną, skoro, jak zapewnia korespondent, z jednej wsi Dylewa wyemigrowało w ciągu 8 lat 100 osób, które zabrały ze sobą gotówki 9,000 rs.

Dużo się u nas pisze o tej emigracyi, o jej przewidywanych i stwierdzonych następstwach, a także i o przyczynach coś niecoś. Co do tych przyczyn, to najlepiej chyba będzie, jeśli się stanie na gruncie tej opinii, którą w swoim czasie przy analogicznym ruchu w W. Ks. Poznańskiem, wypowiedział Karol Liebelt: *Jużciż nie szliby za morza, gdyby im tutaj było dobrze*, orzekł krótko nieodżałowanej pamięci nasz uczony.

W samej rzeczy—lud zadomowiony, osiadły, od wieków trzymający się skiby swojej, gdy się odrywa od tego, z czem się zrósł organicznie, musiał poprzednio przejść całą seryę zawodów, zniechęceń, i poczuć w sobie brak sił do dalszej walki. Nie sami koniecznie optymiści stanowią kontyngensy emigracyi, a i to trzeba wziąść pod uwagę, że wiadomości autentycznych, a odbierających odwagę przybywa do kraju tyle przynajmniej, co optymistycznych a kłamliwych. Mimo to lud rzuca siedziby, wyprzedaje się i uchodzi; wyraźnie nie musi mu być dobrze tu, gdzie jest, a za mało w nim cnoty i uświadomienia—za mało dostępnymi dla jego ducha są względy wyższego porządku, aby pozostawał na miejscu przez poczucie obowiązku.

Dla wszystkich.

Dzienniki powtarzają jednobrzmiąco wiadomość, iż z rozporządzenia Głownego Naczelnika kraju została już ostatecznie rozstrzygnięta kwestya zakładania Towarzystw pomocy dla kształcącej się młodzieży średnich zakładów naukowych. Na przyszłość będą mogli Gubernatorowie zatwierdzać ustawy takich towarzystw po porozumieniu się z kuratorem okręgu warszawskiego co do każdej pojedynczo przedstawionej do decyzyi ustawy. Wszystkie one powinny być wzorowane na ogólnej ustawie normalnej, wydanej w r. 1897 ze zmianami, jakie zostały wskazane odnośnie do tutejszego kraju. W Warszawie ustawy podobnych Towarzystw będą musiały uzyskać zatwierdzenie p. Generał-Gubernatora.

Wskazówki i rady.

Ser świeży na Wielkanoc.

Na Małorossyi używają na święta świeżego twarogu wymięszanego z cukrem i trzema gatunkami rodzenek. Z największych zwyczajnych wybierają się pestki. Twaróg musi być dobrze wyciśnięty, włożony w formę z angielskiej blachy, wysmarowanej oliwą. W niektórych miejscowościach mieszają do twarogu utarte gotowane żółtko jaj i dodają pokrajane w paski daktyle oprócz rodzenek, ale żadnych innych bakalij. Daktyle można zastąpić cykatą cieniutko krajaną.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою Варшава, 23 Марта 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

U siebie trudno mi zaprowadzić wielopolowe gospodarstwo i inne różne zmiany. Na świeżym gruncie, gdzie wszystko żąda nowego, zawinę rękawy, zastosuję ostateczne wypadki mego doświadczenia. Zobaczysz pan!.. kraj cały, zdziwiony, klaśnie w ręce na widok twojego majątku. Ludzie będą zjeżdżać się z pod Krakowa, z Warszawy, z Podola. Zaufaj mi pan hrabia!... — odpowiadam głową — ręczę całym majątkiem; czeka nas niesłychany skutek, ważny nietylko dla pana, ale jako przykład, dla okolicy.

— Nie, panie Piotrze — rzekł Sokolnik, po mistrzowsku udając rozrzewnienie — na Boga zaklinam cię, nie nastawaj! Przyjąć od ciebie tyle dobrodziejstw — nie trudno, ale jak zawdzięczyć szlachetne twoje postępowanie? Życiem całem nie potrafię się wypłacić; sumienie, do grobu będzie mi wyrzucać nędzną moją rolę, w której, niezdolny do wyświadczenia wzajemnej przysługi, umiałem tylko garnąć w siebie cudzą łaskę.

— Przeciwnie. Sumienie panie hrabio powie ci, żeś nie pozwolił zmarnować się człowiekowi, który sobie i ludziom mógł jeszcze być przydatnym, że przyjąłeś prostą usługę, jaką w razie potrzeby każdemu z współobywateli, sam gotów jesteś wyświadczyć. Po prostu jako ojciec dla twoich włościan, chwyciłeś pierwszą sposobność polepszenia ich bytu. Czyliż wreszcie koniecznie mamy otrąbywać przed światem nasze stosunki i układy? Oprócz nas dwóch, nikt o tem co między nami zaszło, wiedzieć nie powinien. Dalej, panie hrabio!... jedno słowo — zgoda?

Piotr wyciągał ku magnatowi szorstką, ogorzałą dłoń, kończył prośbę wzrokiem, dopominał się zezwolenia samym wyrazem uczucia, jakie rozpromieniało mu jego oblicze.

Magnat tymczasem mrużył oczy, dopraszał się u nerwów o dwie, choćby najchudsze łzy, spostrzegłszy nareszcie wyciągniętą ku sobie dłoń gospodarza, uchwycił ją obiema rękami, pochylił naprzód postawę, zachwiał się, i jak gdyby niezdolny dalej oprzeć się popędom serca, padł w objęcia drogiego wybawcy.

— Niech się dzieje wola boża, zacny mój przyjacielu, najzacniejszy z ludzi — zawołał cisnąc go do piersi — czyń co zechcesz, na wszystko przystaję, pozwól tylko zawczasu, naprzód, wynurzyć uczucia wdzięczności, dozgonnego...

— Ani naprzód, ani potem — przerwał Poraj; wdzięczność z obu stron równa, dług umorzony i pokwitowany; nie warto o nim wspominać. Pomówmy raczej o naszych interesach. Mam w myśli kilka projektów; radbym wiedzieć, który z nich przypadnie panu do smaku.

— Na wszystkie zgadzam się, lub raczej nie mów mi o żadnym. Co sam zwiążesz, tego moc moja nie rozwiąże; cokolwiek postanowisz, przyjmę z ślepem posłuszeństwem, z niezachwianą wiarą i zaufaniem. Wyrzekam się własnego zdania; poddaję moją osobę pod samowładne twoje rozkazy. Nie zaręczam, czyli wykierujesz mnie na zdolnego agronoma, ale przysiądz mogę, że między twymi podwładnymi nie znajdziesz gorliwszego ode mnie wykonawcy.

Piotr śmiał się z całego serca.

— Jeden tylko warunek — ciągnął dalej dygnitarz — lub szczerze mówiąc, jedną tylko prośbę ode mnie usłyszysz. Nie wiem, z której strony zapocząć; pomimo tylu dowodow twojej przyjaźni, nie jestem zupełnie spokojny; lękam się odmowy.

— Mów pan, prosto, naprzód, krzyżową sztuką; znasz mnie — ja człowiek nie do ceremonii.

Sokolnik pochylił głowę na ramię, rozwdzięczył usta, przymrużył oczy jak przystało na poufałego suplikanta i rzekł:

— Samotne życie, panie Piotrze, przy pracy nawet, ma swoje strony przykre, bolesne. Człowiek potrzebuje towarzystwa, uścisku serdecznej dłoni, starań wiernych przyjaciół. W moim domu wszyscy cię kochają. Obecność twoja milszą jest niż mogę wyrazić. Zamiast szukać wypoczynku między czterema twojemi ściany, gdzie nikt cię nie wita, nikt nie żegna, rozkwateruj się w drugim twoim majątku, pod moim dachem. Tam, równie jak tu, jesteś u siebie. Uszczęśliwisz nas wszystkich. Wieczorem, po dziennych trudach, nie zaszkodzi trocha muzyki, trocha gawędki z kobietami, ze mną, z kilku blizkimi znajomymi. No cóż — jakże?... na mnie teraz kolej zapytać — czy zgoda?

Piotr wbił oczy w ziemię; niewymowny żal chwycił go za piersi; założył ręce w tył i jak kleszczami ściskał sobie ramiona, byle tylko ztłumić boleść rozbudzoną odezwą gościa.

Słusznie mówił Sokolnik; samotność ciężyła Porajowi; od lat całych marzył on o wypoczynku na łonie rodziny; niedawno jeszcze spodziewał się, że wkrótce dobije się upragnionego celu, że znajdzie raj dla siebie — w domu Sokolnika.

Raj ten stał się mu piekłem, odtąd, jak u ogniska rodziny jedno miejsce na zawsze opustoszało.

Otrząsł się z zamyślenia, przetarł wzrok ręką, odwrócił od gościa, i bezwiednie wpatrując się w ciemny, jakiś olejny obraz, rzekł:

— Dziękuję, kochany sąsiedzie. Umiem cenić łaskę pani hrabiny... panny Maryi, powiem nawet, że czuję się jej godnym, jeżeli głęboki szacunek, jeżeli proste szlacheckie przywiązanie, zasługują na wzgląd. Będę korzystał z zaprosin — nie teraz — nie natychmiast, później — niech jeno ułatwię się z pierwszymi zachody.

— Dla czego nie teraz — dla czego nie miałbyś mnie odwieść do domu?... Ucieszylibyśmy żonę moją miłą niespodzianką.

— Nie — nie; za żadne w świecie skarby. Interesa przedewszystkiem? Muszę bezzwłocznie jechać do miasta, raz jeszcze przejrzeć akta hypoteczne; następnie, trzeba będzie czemprędzej objechać wioski i folwarki. Jesień za pasem. Główny pański majątek, na którym zakładam większą część nadziei, leży pod Bochnią—ztąd dobrych dwadzieścia mil. Myślę w nim osiedlić się — przynajmniej na trzy miesiące.

— Nie umiem nastawać, a przecież—gdybyś dał się namówić...

— Później, później — z wdzięcznością, z prawdziwą rozkoszą stawię się na rozkazy. Bądź pan hrabia przekonanym, że skoro otrząsnę się z frasunków i zatęsknię do ludzi, nie gdzieindziej zajadę, jeno przed jego pałac.

Masz tobie!... piękny ze mnie gospodarz! zapomniałem na śmierć o czarnej kawie; ludziom moim także nie pojmuję, co kręci się po głowie; odwykli od służby, zwłaszcza też od gości.

Hola!... jest tam który?... Może wyjdziemy na ganek?... cudowny wieczór... pozwolisz pan hrabia służyć sobie fajką tureckiego tytoniu?

— Mocno obowiązany — nie palę.

Piotr otworzył drzwi, z ukłonem wskazując gościowi wyjście. Podano kawę; magnat wyciągnął się w szerokiem krześle; gospodarz ziewnął kłębami stambulskiego dymu i jął szczegółowo rozwijać przed nim, gospodarcze w podupadłym majątku ulepszenia, przemyślnicze zamiary, widoki i nadzieje, trudności i środki na ich zwalczenie.

Sokolnik potakiwał, słuchał, podziwiał i coraz głębiej wbijał się mu w serce.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy.

Nazajutrz, pusto było w siedzibie Poraja.

Gość wracał do domu; gospodarz, przeciwną drogą spieszył do miasta, ztamtąd zaś do posiadłości Sokolnika pod Bochnią.

Szlachcic, ziemianin, jechał z posępnem obliczem, zaciskał czasami usta, podnosił rękę ku oczom, kiwał głową, ucinał westchnienia.

Magnat zaledwie ujrzał się za bramą, wypromienił twarz, dał folgę krzyżującym się co chwila uśmiechom, spoglądał w niebo, jak gdyby oczekiwał ulewy z fijołków i z różanych liści.

— Biedaka—powtarzał w duszy—na daleko mniej śliskiej pochyłości, los oddawna byłby strącił w przepaść, zgniótł, rozbił bez miłosierdzia. Jest Opatrzność nad panami!... Bóg nie zapomina swoich wybrańców. Czyliż samo wywyższenie ich nad tłum nie jest ze strony Stwórzyciela uroczystem zobowiązaniem podtrzymywania ich na raz zajętem

stanowisku? Bezwątpienia, tak być musi i tak się też dzieje...

Sokolnikowi dłużyła się droga. Wygrawszy sprawę, rad był czemprędzej wrócić do domu; brnął tymczasem w rozumowania, których nieubłaganą logikę potwierdzało mu pasmo oczywistych wypadków, wyciągał wnioski, roił jeszcze na starość o szumnem życiu w Wiedniu, o świetnem położeniu, jakie mógł zająć dzięki trudom i pomocy Poraja, marzył o zaskarbieniu szczególnych względów księcia kanclerza, o zwróceniu na siebie uwagi monarchy; głaskał sobie pierś na której fantazya wyobrażała mu rozwieszone zaszczytne oznaki Złotego Runa.

Order Złotego Runa!... ze zwichniętą pacierzową kością, złoty baranek!...

Sokolnik pytał siebie, czyli na raz zdoła wytrzymać tyle szczęścia?

— Zobaczymy!... — odpowiadał — niech tylko fortuna sprobuje!

Magnat czuł się tak dalece silnym, że pomimo łańcucha z Runem byłby gotów jeszcze podstawić pierś pod dwie, a nawet pod trzy zagraniczne gwiazdy.

Siłom ludzkim, przez święte natchnienie wyzwanym do czynu, któż zdoła położyć granice?...

Łagodny ruch powozu kołysał mu tymczasem ciało i wyobraźnię; przyszły dostojnik zmrużył zwolna powieki i wkrótce na skrzydłach snu puścił się w czarowne kraje dworskich faworów, uśmiechów księcia kanclerza, wejrzeń cesarskich, hołdów gawiedzi, zazdrości sobie podobnych. Przebudzany od chwili do chwili trąbką pocztyliona, późną dopiero nocą zatrzymał się przed pałacem, gdzie oddawna wszystko oddychało głębokim snem.

Jeszcze kilka słów, jeszcze jeden małoznaczny, zwyczajny wypadek, a kończę rozdział a z nim drugi tom mojej powieści.

Sokolnik ocknął się, kazał sobie do gabinetu podać posiłek, następnie rozbudzić i natychmiast przywołać kapelana.

Służba żywo spełniła pańskie rozkazy.

— Wybacz księże — rzekł do wchodzącego, jeżeli przerwałem twój świątobliwy spoczynek. Dobrych wieści nie należy odkładać. Sprawa wygrana. Szlachcic zostawia pożyczkę, bierze w zarząd majątek; przysięga na duszę, że w dziesięciu latach, nie ubliżając w niczem zwykłym domowym wydatkom, z rozdętymi żaglami, bez grosza długów, wypłyniem na pełne morze, bogatsi niż kiedykolwiek.

Laus Tibi Domine! święć się Imię Twoje!... — rzekł ksiądz, składając ręce. — Cóż mówi o małżeństwie? — dodał pośpiesznie.

— Nic; wypiera się brata, wraca mi słowo.

— I pomimo to, bierze w zarząd majątek?

— Cóż z nim począć? Rozmiłowany w gospodarstwie na zabój, nic nie ma do czynienia, u mnie szuka zajęcia. Długo wzbraniałem się... godność moja.. przyzwoitość... rozumiesz mnie księże?... Musiałem wreszcie uledz natarczywym jego prośbom.

— Hm! szlachcic nie w ciemię bity; idzie mu także o bezpieczeństwo, o pewność odzyskania uwięzionych kapitałów.

— Być może! Trudno przecie wymagać, aby mi darował kilkadziesiąt tysięcy dukatów?

— Wyborne nowiny!... Jutro rano, jeżeli pan hrabia pozwoli, odprawię mszę dziekczynną.

— Zgoda, byleś mnie tylko nie budził; potrzebuję wypoczynku. No, a u was przez ten czas nic nie zaszło nowego?

— Zaszło i wiele. Mamy gości.

— Któż taki?

— Dziś z rana przyjechał Szambelan.

— Szambelan.

— Za nim w kilka godzin zjawił się przewielebny ksiądz Prowincyał. Ojciec Zefiryn mieszka w pawilonie, obok mego pokoju.

— Czy dawno jak położył się spać?

— Nie śpi jeszcze; towarzystwo rozeszło się późno. Ojciec Prowincyał raczył długo ze mną rozmawiać; mocno żałował, że pana hrabiego w domu nie zastał, snać niema czasu do stracenia?

— Czy już rozebrany?

— Bynajmniej; oddawna słyszymy głos trąbki i czekamy powrotu. Ksiądz Zefiryn posłał mnie nawet dowiedzieć się, kto przyjeżdża? wezwanie pańskie spotkałem w pół drogi.

— Sądzisz więc księże, że gdybym...

— Bezwątpienia panie hrabio; Ojciec Prowincyał natychmiast pospieszy. Biegnę uprzedzić go.

— Czekam, z upragnieniem czekam.

Jezuita nie dał długo na siebie czekać; wszedł z twarzą uradowaną, obłożył magnata uściskiem i powitaniami.

Sokolnik oświadczył kapelanowi, że niechce dłużej przerywać mu wywczasu, tembardziej, że hrabina zwykła słuchać mszy o rannej porze, przed śniadaniem, do którego bez zadośćuczynienia wprzód religijnym obowiązkom, nie byłaby usiadła z apetytem.

Tapczyc oddalił się z trzema głębokimi ukłony, dygnitarz posadził duchownego w wygodnem krześle i sam chodząc po pokoju, opowiadał mu skutki odwiedzin u Poraja.

Ojciec Zefiryn nawzajem prawił mu ciekawe szczegóły o Szambelanie, jako tenże z każdym dniem rósł w fawor u księcia kanclerza, i jako przed kilkoma dniami otrzymał nominacyę na konsyliarza aulicznego JC. Mości.

Narady przewlokły się prawie do świtu.

Magnat i Jezuita rozeszli się jako ludzie nawzajem z siebie zadowoleni, ale poważni, zaprzątnięci, ciężarni niby ogromnym zamiarem, który przyrzekli sobie, z wspólną pomocą dowieść do skutku.

Powrót Sokolnika uweselił mieszkańców pałacu. Hrabina przyzwyczajoną była cieszyć się, ile razy mąż wracał; Szambelan zaczynał się nudzić jedyną męzką postacią kapelana, która jednostajnie, dżdżysto, słaniała się mu przed oczyma.

Szambelan łatwo mógł spostrzedz, że starania, jakiemi otaczał piękną hrabiankę, nie sprawiały wielkiego skutku. Marya przyjmowała je obojętnie, często z roztargnieniem, jak gdyby wymogi światowej grzeczności nie były dość silne do oderwania jej na chwilę od jednej, samowładnie ogarniającej ją myśli. Samo nadto obejscie wiedeńskiego panicza nie przedstawiało wiele ponęt dla urodzonej w pałacu, naszej dziewczyny.

Szambelan w głębi duszy, nie poczuwając się do żadnego narodu, wybrał sobie za wzór kastę tego kraju, który najwięcej odpowiadał jego wyobrażeniom. Żałował nieraz, że nie urodził się lordem. Austryackie swoje miano i zaszczyty z radością byłby zamienił na tytuł Margrabiego Westminster, lub księcia Devonshire.

Złe było nie do naprawy; usiłował przynajmniej o ile możności modelować się na wzór angielskiej *gentry* i cieszył się bez miary, gdy często w Wiedniu, gwoli ubiorowi, powadze ułożenia, ruchu, wykwintnej rubaszności, znajomi żartem zapytywali go, czy nad Dunajem się urodził, czyli też nad Tamizą?

Rozmiłowany na zimno w konnych wyścigach i w polowaniu na lisa, zbyt własną godność szanował, aby ją miał parafianić uczuciem, rozmarzonymi zaloty ku kobiecie, westchnieniami miłości, jakimi pozioma szlachta lub nędzne mieszczaństwo zastępowały brak przyzwoitego pochodzenia.

Szambelan w wielkiem stadzie ludzkości uważał się za nieposzlakowanego folbluta; w małżeństwie szukał korzyści urodzenia, majątku, wdzięków jeżeli można, bez żony bowiem, ani domu niepodobna było prowadzić, ani otwarcie przyjmować u siebie dam z wysokiego towarzystwa, ani żyć jednem słowem, jak przystało na człowieka umiejącego cenić komfort i dogodności tego stanu, gdzie wielki tylko pan, gdzie prawdziwy gentleman umiał jednoczyć wszystkie korzyści małżonka ze wszystkiemi rozkoszami bezżennika.

Błyszczeć w pierwszem towarzystwie stolicy, gasić wdziękiem kobiety sławne z urody, pochwycić berło tonu, widzieć dobijających się o wejście dygnitarzów, ambasadorów, wielkich ludzi Stanu, przedstawiać swoją żonę na dworze, samemu może zostać kiedyś ambasadorem, samemu przedstawiać Cesarza w Paryżu, w Londynie, lub gdzie we Włoszech — na honor i duszę!... gdzież kobieta, którąby z zamkniętemi oczyma nie rzuciła się w objęcia tylu uroczych snów?...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PRACOWNIA SUKIEN
i Okryć Damskich
Zofii Łęckiej
HOŻA № 27, m. 22.
Wykonywa wszelkie roboty po bardzo nizkich cenach.

Nakładem spółki wydawnictw illustrowanych wyszło:
Album Artura Grottgera
„WOJNA"
(w dolinie łez) 15
11 rycin z portretem Grottgera oraz tekstem T. Szabłowskiego. **Cena kop. 80.** w ozdobnej teczce, ryciny w kartonach **rs. 1 k. 50.** Wydanie duże, wykwintne w formacie 42×32 ctm., ryciny na kartonach w ozdobnej tece ze złoceniami **rs. 4 kop. 50.**
Skład główny w księgarni Jana Fiszera Nowy Świat 7.

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—53—34

Znacznie powiększona
BIESIADA
LITERACKA ILLUSTROWANA.
DLA RODZIN POLSKICH.
Redaktor Władysław Maleszewski.

W Warszawie rocznie: **5 rs.** a z dodatkiem rb. 6.50.

Z przesyłką rocznie: **6 rs.** a z dodatkiem rb. 8.

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie. portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.

DODATEK DO BIESIADY OBEJMUJE:
WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.
Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.

Upraszamy dotychczasowych prenumeratorów Biesiady o wiadomość: od którego roku trwa ich prenumerata i o aforyzm własny. W „HERBARZU JUBILEUSZOWYM" pomieścimy aforyzmy najlepsze i nazwiska czytelników, którzy są sprzymierzeńcami i przyjaciołmi Biesiady.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. ☞ Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

Łyżki, widelce, noże, oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich 21 **TEOFIL PYCZ** **4, Miodowa 4, w Warszawie.**

KROAZY. KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskie konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta** ul. Ś-to Krzyska Nr 8.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2 **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. **Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie.** 868-40-33
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 14

MAGAZYN MEBLI
ANTONIEGO STRÓMIŁO
Bracka Nr. 25.
Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.
CENY NIZKIE. 1026-52-18

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki
i t. p. poleca 27
Pracownia Jubilerska
J. LIPOWSKI i S-ka
Krak.-Przedm. 71 m. 9, I-sze piętro.
Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

M. Rychterman
Senatorska 28. gdzie „Kuryer Poranny,"
poleca wyroby białe, płócienne, bawełniane, firanki i trykotaże fabryk Jarosławskich, Żyrardowskich, Moskiewskich, Petersburskich i Łódzkich. Wybór wielki w bieliźnie stołowej. Nabywając towar wprost z fabryk i mając skład w mieszkaniu, jestem w możności zadowolnić się małym zyskiem. 31
Senatorska № 28, na parterze.



Największą plagą XIX-go wieku jest nerwowość, a jej powodem bywa najczęściej nieodpowiednie odżywianie teraźniejszego pokolenia, szczególniej *w wieku dziecięcym.* Kawa i herbata nie posiadają przypisywanych im własności pożywnych, a używane stale rozstrajają nerwy i oddziaływają źle na zdrowie. Ażeby zatem dzieci nasze uchronić od tego zła ogólnego, należy karmić je *tylko*
MĄCZKĄ OWSIANĄ KNORRA,
dozw. przez Warsz. Urząd Lek. za Nr 2429 na ogól. zas. han.
a społeczeństwo pozyska jednego więcej zdrowego i użytecznego pracownika.
Sprzedaż w aptekach, składach aptecznych, handlach kolonialnych i spożywczych.
Skład hurtowy na Królestwo Polskie w domu handlowym
Jagiełło i Korzycki, Warszawa.

Mączka owsiana Knorra sprzedaje się *tylko w pakietach* ¼ k^0
nie należy więc przyjmować tejże nieopakowanej

GAMASTON
Wiara ✽
Nadzieja ✽
Miłość ✽
Nowelle, z illustracyami
A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.
Rs. 1 kop. 50.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi
„Tygodnik Mód i Powieści"

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA
w Warszawie.
Grzybowska Nr. 62.
Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19

Na raty Duży Sklep Manufakturnych i Sukiennych towarów. Życzący na raty adres osobiście lub pocztą **Nalewki 36**
12 **Ch. Kantorowicz.**

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-49

!! Na raty od 50 kop. !!
poleca
F. Feigenblatt
GRANICZNA 14.
Wyżymaczki, Maszynki do mięsa oraz Naczynia kuchenne emaljowane. 22

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
947—25—6

WYŚMIENITE i udelikatniające
MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

BIURO NAUCZYCIELSKIE!
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki, bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyżka 44.** 963—25—15

Nowootworzony skład dywanów ***ul. Erywańska 14.***
p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-18

Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5. 935-25-18 **ST. PRZEZDZIECKI,** Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów *na Mazowiecką Nr. 5.* Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5.

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1, rocznie rs. 4. Na prowincyi kwartalnie rs. 1 k. 25, rocznie rs. 5.

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

Prospekt na rok 1899.

„GAZETA POLSKA“

Dziennik polityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

„Gazeta Polska“ od roku zeszłego daje prenumeratorom swoim stale jako

Bezpłatny dodatek Tygodniowy

Co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej“ otrzymuje od nas

COROCZNIE

52 tomy książek darmo.

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom **rodzin**, którym obok pisma codziennego, stale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Bezpłatny COROCZNIE 52 tomy Darmo ***Dodatek***

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom zarówno w Warszawie jak na prowincyi. Obejmuje on **dziesięć arkuszy** druku i ma za treść co tydzień inny **utwór wybitny,** bądź oryginalny, bądź tłómaczony. **Przejdziemy kolejno wszystkie literatury europejskie i damy czytelnikom naszym kolekcyę dzieł interesujących.** Po kilku latach każdy nasz prenumerator stanie się **posiadaczem własnej bogatej biblioteki.**

Dotychczas, t. j. od rozpoczęcia wydawnictwa w Październiku roku zeszłego, weszły do niego dzieła następujących pisarzy: **H. Adersen'a, Józefa Blizińskiego, J. Breton'a, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jeża, Stanisława Kozłowskiego, Jana Lama, J. Lie, Ireny Mrozowickiej, Tadeusza Padalicy, E. Rostanda** (przekład M. Konopnickiej i Wł. Zagórskiego). W druku dzieła: **St. Pileckiego, Goethego, Maryi Konopnickiej.**

Bezpłatny COROCZNIE 52 tomy Darmo ***Dodatek***

W wyborze materyału literackiego do naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp.

Zyg. Gloger, Kaz. Kaszewski, i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym. **W Warszawie:** Rocznie 9.60, półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40, miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rs. 12, półrocz. rs. 6, kwart. rs. 3.

CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:“ Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop. 8. Za wiersz petitowy reklamy na trzeciej stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologii wiersz kop. 15. 25

Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.

Sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.

„Eau Végétale“ (Woda roślinna)

najlepsza i najpewniejsza do farbowania siwych i rudych włosów na kolory szatyn, brunet i czarny.—**„Eau Végétale“** zaraz po jednorazowym użyciu, zamienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny, nie brudząc ciała ani bielizny, nadając włosom kolor naturalny i trwały. — **„Eau Végétale“** jest jedyny środek, najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena kompletu rb. **2** k. **50**—bez szczotek i pudełek rb. **2.**—Za przesyłkę pocztą kop. 50 drożej. Osoby wypisujące raczą nadesłać próbkę swoich włosów, co mi da możność wysłania najstosowniejszej farby. 38

SKŁAD GŁÓWNY u T. MARKOWSKIEGO

Bielańska № 2, w Warszawie.

„SŁOWO“

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI, EKONOMICZNY I HANDLOWY

wychodzi codziennie prócz świąt w Warszawie

pod redakcyą

Mścisława Godlewskiego

przy udziale pierwszorzędnych pisarzy polskich

„SŁOWO“ powiększyło swój format w r. b. o 1/3 dotychczasowej wielkości, bez zmiany warunków prenumeraty.

Oprócz zwykłych rubryk codziennych i artykułów wstępnych oraz korespondencyi z całego świata, **„SŁOWO“ zamieszcza codziennie dwa feljetony:** naukowo literacki i powieściowy.

W 1899 r. w feljetonie powieściowym „SŁOWO“ drukować będzie przedewszystkiem dokończenie wielkiej powieści jubileuszowej.

Henryka Sienkiewicza

p. t.

„KRZYŻACY.“

(Nowoprzybywający od Nowego Roku prenumeratorowie „SŁOWA“ mogą otrzymać początek **„Krzyżaków“** (sześć części) za dopłatą **1** rs.)

Następnie w tece feljetonowej „SŁOWA“ znajdują się: ***Elizy Orzeszkowej*** nowela „PORCELANKA,“ powieść ***Wincentego Kosiakiewicza*** p. t. „HALLALI!“, powieść ***Artura Gruszeckiego*** p. t. „NAWRÓCONY,“ powieść ***Maryana Gawalewicza*** „KLIN“ i inne.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: Rocznie rs. 9, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie 75 kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się 5 kop. na miesiąc.
z przesyłką pocztową: Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6. kwartalnie rs. 3.
Za granicą: Rocznie rs. 14 kop. 50—40 frank—19 guld.—32 marki.
Półrocznie 8 rs.—22 fran.—10 guld.—17 marek.
Kwartalnie 4 rs.—12 fr.—5 guld.—9 marek.
Miesięcznie 1 rs. 50 kop.—4 fr.—2 guld.=3 marki. 6

Adres Redakcyi i Administracyi „SŁOWA“ Warecka 15 w Warszawie.

Przewodnik Illustrowany

po WARSZAWIE,

67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.

Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.

z przesyłką pocztową rekomendowaną 35 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

ORAZ

w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści“.

Zakład naukowy Żeński 6-cio klasowy z oddziałem przygotowawczym

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 2

(wprost Kopernika).

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

(CZYTELNIA)

w czterech językach, przy Księgarni i Składzie Nut **Alfreda Straucha i S-ki Niecała 8.** Poleca wielki wybór książek. Ostatnie nowości na składzie. Abonament 30 kop. miesięcznie. Zastaw za 3 książki 1 rubla. 974—12—13